

Witold Palak

księżycowa autostrada

MOTOCYKLEM PRZEZ HIMALAJE



Bezdroża

Autor tekstu: Witold Palak

Zdjęcie na okładce: Pastuszek z Ladakhu

Zdjęcia: Adrian Palak, Witold Palak

Redaktor prowadzący: Paweł Sondej

Redakcja: Sandra Trela, Paweł Sondej

Korekta: Wioleta Grządkowska

Opracowanie graficzne i skład: Dawid Kwoka

Projekt okładki: Jan Paluch

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawnictwo Helion dążyli do wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawnictwo Helion nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo Helion

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel.: 32 2309863

e-mail: redakcja@bezdroza.pl

księgarnia internetowa: <http://bezdroza.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

<http://bezdroza.pl/user/opinie/?bemoh1>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydanie I

ISBN: 978-83-283-0426-0

Copyright © Witold Palak, 2014

Copyright © Helion, 2014

• **Kup książkę**
• **Poleć książkę**

• **Oceń książkę**
• **Księgarnia internetowa**

• **Lubię to!**
Nasza społeczność

Witold Palak

**księżycowa
autostrada**
MOTOCYKLEM PRZEZ HIMALAJE

Kup książkę

Poleć książkę

Kup książkę

Poleć książkę

Witold Palak

Księżycowa autostrada

MOTOCYKLEM PRZEZ HIMALAJE



Kup książkę

Poleć książkę



berdzo

Rozdział VII

Kierunek: Ladakh

Zrosnącą niecierpliwością zerkaliśmy w stronę motocykli zaparkowanych w ogrodzie Shai. Kiedy około południa trochę się rozpogodziło, to znaczy z szarego jak niedoprana szmata nieba nic nie kapąło, podjąłem męską decyzję. Ruszamy.

Wyściskaliśmy się z gospodarzem i jego żoną i o czternastej odpaliliśmy maszyny. Znow na szlaku!

Śrinagar w deszczu wyglądał ponuro i przygnębiająco, w miarę oddalania się od jeziora powróciły ogólnindyjski bałagan i chaos architektoniczny. Nie mierzyliśmy dziś zbyt wysoko – za punkt docelowy obraliśmy Sonamarg, miasteczko oddalone o osiemdziesiąt cztery kilometry od Śrinagaru. Niby niedaleko, lecz po kilkudniowych deszczach każdy ostrzegał nas przed fatalnymi warunkami na drodze. Na szczęście te hiobowe wieści były mocno przesadzone. Droga była niezła, widoki coraz piękniejsze.

Po dziewiętnastu kilometrach minęliśmy wioskę Ganderbal. W tym momencie oficjalnie zakończyliśmy pobyt w dolinie Kaszmiru. Równiny miały się ku końcowi i powoli wjeżdżaliśmy w tereny górskie. Na mapie przeczytałem ich nazwę: Great Himalaya. Coś radośnie ukłuło w sercu. Do naszej wędrowki przyłączyła się rzeka Sind, która miała nam towarzyszyć aż do Sonamarg. Prawdziwe widoki zaczęły się po minięciu wioski Kangan, na trzydziestym ósmym kilometrze. W tym miejscu dolina zwężała się, droga robiła się bardziej kręta, a po lewej stronie ukazały się szczyty pasma Harmukh. Niestety tylko na chwilę, gdyż niebo ponownie zasnuło się chmurami, by po chwili dorzucić nam codziennego mokrego towarzysza. A było co podziwiać – dolina rzeki Sind jest zamieszkała, a żyzne ziemie dają niezłe plony. Po obu stronach drogi kilometrami ciągną się gaje orzecha włoskiego, a za nimi, na stokach, lasy sosny himalajskiej. Zbocza górskie poprzecinane są dodatkowo licznymi strumieniami. Co chwila przebijaliśmy się przez stada owiec sprowadzanych z hal przez lokalnych pasterzy.

Nie zwalniając, przejechaliśmy przez Gund. Czułem żal za traconymi po drodze widokami, zwłaszcza kiedy po kilku kilometrach wąwóz się zwęził, aż do postaci skalistego kanionu. Z pewnym

niepokojem kierowaliśmy wzrok w górę, na skały, bo przy takiej pogodzie w każdej chwili coś mogło wylądować nam na głowach. Zrobiło się zimno, mżawka przepoczwarzyła się w ulewę. Trzęśliśmy się z zimna, ale do Sonamarg zostało już niewiele kilometrów. I wtedy góry oraz wezbrana rzeka pokazały swój majestat. Takich widoków jeszcze nie mieliśmy. Wzburzony deszczem Sind kipiał na kamieniach, a po lewej stronie wyłonił się na chwilę z mgły lodowiec Thajiwas, jedna z głównych atrakcji w tej okolicy.

Sonamarg okazał się niewielką osadą położoną w środku szerokiej doliny, na odczuwalnej już wysokości 2740 metrów. Góry jakby się odsunęły, tworząc potężne plateau. Zbocza porośnięte sosnowym lasem, rozłożyste łąki, a na widnokręgu – góry. Idealne miejsce na długi spacer, przejażdżkę konną czy po prostu sielski wypoczynek. W języku kaszmirskim Sonamarg znaczy „Złote łąki”. Co roku w okresie letnim łagodne wzniesienia pokryte są kobiercem kwiatów, sięgającym aż sosnowego ostępu.

Osada długa na niecały kilometr miała na szczęście bogatą ofertę hotelową. Małe mużmańskie hoteliki znajdowały się w co drugim budynku. Zamieszkaliśmy już w pierwszym, mając do dyspozycji dwa ogromne i wygodne łóżka.

Z ulgą przebraliśmy się w suche ciuchy. Zwiedzanie całej osady zajęło nam dwadzieścia minut. W tak urokliwym, lecz bardzo spokojnym miejscu mogliśmy się oddać w objęcia Morfeusza.



Zerwałem się bladym świtem, co na nasze standardy stanowiło porę niezwykłą. A warto było, bo pogoda znacznie się poprawiła, przez co i widoki na góry dookoła. Wzrosła też szansa na bezpieczniejszy przejazd przez Zodźi La. Mieliśmy już tego deszczu serdecznie dość, a według prawideł geograficzno-meteorologicznych, za przełęczą miał czekać nas już zupełnie inny klimat. Podobnie jak Rohtang La, tak i Zodźi La – broniące dostępu do Ladakhu – była barierą nie do przebicia dla chmur z dolin.

Osadę Sonamarg od przełęczy Zodźi La dzieli dwadzieścia dwa kilometry. Od pierwszego obrotu kół mieliśmy podwyższony poziom adrenaliny. Początkowo trasa nie sprawiała problemów: dobra nawierzchnia, łagodne podjazdy, uroczę, kiczowate niemal landszafty. Dramaturgii dodawał ryczący w wąskich przesmykach Sind. Kiedy minęliśmy wioskę Baltal, rzeka nagle pożegnała się z nami, odbijając na południe. Zostaliśmy sam na sam z kamienistą już drogą, gwałtownie wznoszącą się pomiędzy majestatyczne szczyty.

Zodźi La, 3529 metrów nad poziomem morza – w porównaniu z innymi himalajskimi przełęczami nie jest to żaden wielkolud. Jednak ekstremalnie niestabilny teren i tendencje do gwałtownych załamań pogody stawiają ją na czele najtrudniejszych drogowych przejść w indyjskich



■ Kamienistą ścieżką...

Himalajach. Wąska szosa jest nieustannie zasypywana kamiennymi lawinami, osuwiskami i czasami zwęża się jeszcze o połowę. Do 2006 roku na drodze dozwolony był jedynie ruch jednokierunkowy, wahadłowy. Od tamtej pory jezdnia została nieco poszerzona, lecz i tak nie zwiększa to bezpieczeństwa ani tempa przejazdu. Kiedy następuje otwarcie przejazdu, z reguły w połowie maja, duża jej część biegnie wzdłuż lodowej ściany. Przełęcz Zodźi La otwarta jest dla ruchu kołowego jedynie przez pięć miesięcy w roku. Konieczność regularnego finansowania reperowania drogi przyczyniła się do opracowania planu budowy piętnastokilometrowego tunelu, który umożliwiłby całoroczny przejazd ze Śrinagaru do Leh. Koszt inwestycji oszacowany został wstępnie na sto sześćdziesiąt dwa miliony dolarów, lecz znając realia indyjskie, śmiało można tę kwotę podwoić.

Ciekawostką o Zodźi La jest fakt, że jest to najwyżej położone miejsce na świecie, gdzie do walki zbrojnej użyte były czołgi. W 1948 roku wojsko indyjskie za pomocą swoich czołgów oczyściło przejazd na przełęczy, zablokowany przez pakistańskie posterunki.

Nie tylko lepsza nawierzchnia, ale i zupełnie inny krajobraz utwierdziły nas w przekonaniu, że oto wjechaliśmy do Ladaku. Powitała nas wielka tablica z napisem: „Welcome to Ladakh”.

Jadąc wzdłuż rzeki Sind, ujrzeliśmy nagle dziesiątki namiotów ustawionych na kamienistym, szerokim brzegu. Były to koszary wojskowe. Z powodu braku działań wojennych i zajęć paramilitarnych żołnierze indyjscy ułożyli z białych kamieni przeogromny napis na zboczu: „Indian Army”. Słynny „Hollywood” w Los Angeles to pikuś w porównaniu z majestatem wyczynu dzielnych wojaków. Oglądając z góry ich krzątanie, doszliśmy też do wniosku, że drugim głównym zajęciem, poza zabawą w targanie kamieni, było właśnie rozbijanie i składanie namiotów.

Pierwszą zamieszkaną osadą, położoną na końcu trawiastej równiny Minamarg, było Matayin. Jego zabudowa zdecydowanie różniła się od tego, co poznaliśmy przed przełęczą Zodzi La. Wioska składająca się z zaledwie kilkunastu domostw, rozrzuconych po ogromnym plateau, wyglądała niemal surrealistycznie. Ulepione z gliny ściany pokryte były dachami z resztek płaskiej blachy. Na pustych, zakurzonych podwórkach walały się kupki z drewnem, koniecznym do przeżycia zimy. Na wysokości 3180 metrów nie ma szans na doczekanie wiosny bez odpowiedniej ilości paliwa. Kolejne skupiska ludzkie, oddalone od siebie o kilkadziesiąt kilometrów, niewiele się różniły. Ta sama bieda, kurz, bydło wałęsające się dookoła, rudery zbudowane z połączenia kamienia, błotnych cegieł, patyków i gdzieś tam tylko nieliczni mieszkańcy.

Pierwszą większą miejsciną było Dras. Tam zarządziłem godzinny postój. Po kilkunastu kilometrach samotności zapragnąłem widoku ludzi. Spacer po zakurzonej i miło zatłoczonej głównej drodze zwieńczony został konsumpcją pysznego omletu z chili i cebulą, a także kilku placzków ciapaty w lokalnej paszarni. Było gorąco. Aż trudno uwierzyć, że Dras, położone na wysokości 3250 metrów,

■ ...i do tego z przeszkodami



Kup książkę

Poleć książkę



znane jest jako najzimniejsze zamieszkane miejsce w Indiach. Temperatura w zimie spada czasem do niemal minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Rekord został pobity w styczniu 1995 roku, kiedy termometry (te, które nie pękły na mrozie) odnotowały minus sześćdziesiąt stopni, plasując Dras na drugim, po Syberii, miejscu na Ziemi z najniższą zanotowaną temperaturą. Przyjmując stereotyp myślenia przeciętnego, niedoświadczonego turysty o Indiach, jako o kraju nękanym jedynie upałami, ciężko dać temu wiarę. Miasto, stanowiące wygodną bazę dla kilkudniowych wypraw trekkingowych, ma też niezłe zaplecze hotelowe, ale nam zostało tylko sześćdziesiąt kilometrów do Kargil. Odpaliliśmy więc maszyny i ruszyliśmy dalej, nie czekając na bicie rekordów zimna.

Kargil, leżące na wysokości 2704 metrów, jest drugim pod względem liczby mieszkańców miastem Ladakhu. Przed wielu laty było ważnym centrum handlowym i tranzytowym na trasie transzajatyckiej. Liczne karawany, przewożące jedwab, brokat, dywany, herbatę, mak, kość słoniową i inne cenne towary, zatrzymywały się w Kargil podczas swojej podróży do lub z Chin, Tybetu i Kaszmiru. Obecnie miasto, które straciło strategiczną pozycję na szlaku handlowym, powoli odzyskuje status miejsca tranzytowego dla podróżujących ze Śrinagaru do Leh i na odwrót. Znajduje się bowiem niemal pośrodku drogi między tymi dwoma miastami. Jest również nie tylko ważną bazą

wypadową dla licznych wypraw w te regiony Himalajów, ale przede wszystkim punktem startowym podróży do Zanskaru.

I taką właśnie funkcję miało pełnić dla naszej ekspedycji.

Rozglądając się podczas powolnej jazdy za jakąś noclegownią, wjechaliśmy na Hospital Street, zgodnie ze swą nazwą pełną małych aptek, gabinetów przyjęć i różnych specjalistów. A wszystko to w typowej indyjskiej poetyce (czytaj: bałaganie).

Nasz Paradise Guest House leżał dokładnie naprzeciw bramy wjazdowej do szpitala. Mogliśmy więc zaryzykować i po raz pierwszy od wyjazdu z Polski zapełnić żołądek kawałkiem jakiegoś mięsa. Włączając się po głównej ulicy w Kargil, trafiliśmy na niewielką smażalnię kurczaków. Nie sposób już było się oprzeć urokowi ptasiej nogi, uprażonej w głębokim oleju. Zatopiliśmy zęby w mięsie, rozkoszując się zapomnianym już smakiem.

– Pyszne kurczaki, nie? – Pytanie dobiegło z sąsiedniego stolika.

– Uhm – wystękałem, mocując się z udkiem, wielkością pasującym bardziej do kolibra niż kurczaka. Nie było zbyt wiele do jedzenia, więc starałem się nie zmarnować ani kawałka.

– Dokąd jedziecie?

– Padum. – Nie siliłem się na konwersację.

– My dziś właśnie stamtąd przyjechaliśmy. Mieszkamy w Padum. Przyjechaliśmy do Kargil w interesach. Zawsze, jak tu przyjedziemy, najadamy się kurczaków do syta. W Zanskarze takich luksusów nie uświadczysz. – Nasz sąsiad był bardziej rozmowny. Siedział tuż obok, z brodatym towarzyszem, przy suto zastawionym stoliku.

Jego kompan nie tracił czasu na zbędną paplaninę i łapczywie pochłaniał drugą już porcję w milczeniu. Był żywym dowodem na prawdopodobność towarzysza.

– Jak chcecie się dostać do Padum? – Gaduła się nie poddawał.

– Na motocyklach. Mamy dwa enfieldy. – Rozgrzewałem się przed dłuższą konwersacją. Wyglądało na to, że mogę zdobyć cenne dla nas informacje.

– Nie zapomnijcie o zapasie benzyny. Zabierzcie też ze sobą jedzenie. Po drodze ciężko coś kupić. A jeśli lubicie jajka, to też się tutaj najedzcie. W Padum ich nie znajdziecie.

Brzmiało to dosyć logicznie. Skoro nie było jajek, to skąd miałyby się wziąć kurczaki? I na odwrót. Pytanie: „Co było pierwsze: kura, kogut czy sklep z jajami?” – powróciło natrętnie.

– A co takiego robicie w Padum? – rozgadałem się nieoczekiwanie.

– Pracujemy w banku.

– W banku?! – Moje wyobrażenie o średniowiecznej stolicy Zanskaru błyskawicznie przesłoniły współczesne obrazy.

- Tak, otworzyli niedawno. Kiedy będziecie w Padum?
- Myślę, że za trzy dni. – Nie byłem pewien, czy kiedykolwiek tam dotrzemy.
- W sobotę będzie tam wesele mojego kuzyna. Zapraszam was na zaślubiny.
- Okej, dzięki. A będą kurczaki? – Chyba niepotrzebnie szarżowałem.
- Wpadnij na wesele. A kurczaków lepiej najedz się teraz – inteligentnie wybrnął z trudnego

pytania.

* * *

Nocleg w Paradise Guest House był ostatnią szansą na bliższy kontakt z wyższą cywilizacją przez kilka dni. Podejmując ryzyko wyjazdu do Zanskaru, liczyliśmy się z problemami noclegowymi, warsztatowymi i w ogóle marnym zaopatrzeniem we wszystko. Lecz pokusa była większa niż zdrowy rozsądek.

Tej nocy budziłem się co chwila. Sprzeczne myśli kołatały się po głowie. Do rana musiałem podjąć decyzję. Logika i konformizm krzyczały o zbytnim ryzyku. Niepewni sprzęt, jeszcze mniej pewni mechanicy, a już zupełnie niedoświadczeni kierowcy. Ale dzięki Bogu poza logiką człowiek posiada jeszcze w mózgowicy zjawiska zwane szajbą, korbą, odjazdem czy bardziej po ludzku i elegancko – niefrasobliwością. Dla tak zwanych normalnych ludzi wszystkie te pojęcia mogły się pomieścić w jednym worku pod wspólną nazwą: kretynizm.

Kiedy wstałem o świcie, decyzja była już podjęta. Jedziemy do Zanskaru. Oznaczało to dwulub trzydniową mordęgę po kamienistej drodze. Zamiast wiedzy technicznej mieliśmy wieść ze sobą wielki worek z ufnością wymieszaną ze szczęściem. Z dwustu czterdziestu kilometrów, które dzielą Kargil od Padum, jedynie pierwsze sześćdziesiąt to jako taki asfalt. Kolejne sto osiemdziesiąt to droga, jakiej nie uświadczysz już na Ukrainie ani w Albanii. Ale o tym mieliśmy się dopiero przekonać.

Wyruszyliśmy na spacer zaopatrzeniowy po Kargil. Od razu dało się zauważyć królującą w tym miejscu religię. Brodaci mężczyźni w długich dżalabijach, niemal zupełna nieobecność kobiet, fotografie ajatollaha Chomeiniego wiszące w co drugim oknie, brak sklepów z alkoholem, a przede wszystkim liczebność i wszechobecność meczetów oraz nawoływania muezinów – nie było wątpliwości. Jedynym wyjątkiem w tej męskiej dominacji były staruszki, handlujące przywiedniętymi warzywami.

Ponad pół wieku temu miasto stanowiło punkt sporny pomiędzy Pakistanem a Indiami. Tak zwana pierwsza wojna kaszmirska przyniosła w roku 1948 przyznanie tego terenu Indiom i wyznaczenie linii demarkacyjnej. I dzisiaj, kupując mapy w Pakistanie, widać wszystkie te miejsca zapisane po stronie pakistańskiej. Kulturowo Kargil bliższe jest górzystemu Baltistanowi, położonemu



■ Jedna z możliwości noclegu

na terytorium obecnego Pakistanu, niż Tybetowi czy Indiom nizinnym. Jeszcze nie tak dawno, bo w roku 1999, Kargil było świadkiem infiltracji wojsk pakistańskich. Podczas walk w tak zwanej wojnie kargilskiej zginęło po obu stronach około pięciuset żołnierzy. Walki w okolicach Dras trwały aż do 2003 roku. Żołnierze pakistańscy zostali wyparci poza linię kontroli. Napięcie pomiędzy oboma krajami istnieje do dziś – stąd wszechobecność indyjskich koszar wojskowych.

Wysokość 2700 metrów dawała wspaniałe wytchnienie, idealną o tej porze roku temperaturę. Spacerując po Kargil, uzmysławiałem sobie, że w czasie zimy temperatura tutaj może spaść nawet poniżej czterdziestu stopni.

Główna ulica miasta składała się wyłącznie ze sklepów. Znaczną klientelę stanowili żołnierze z Indian Army, stacjonujący w okolicy. Zakupiłem ostatnie niezbędniki w postaci miodu, dzemu, chleba, pomidorów, krakersów i wody. Ale najważniejszy był zakup wiązki drutu, dodatkowego pojemnika na benzynę, śrubek, sznurka i taśmy izolacyjnej. Wszystko to już wkrótce okazało się bezcennym ekwipunkiem.

Byliśmy gotowi. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Rozdział VIII

Skalistą ścieżką w przeszłość

Jedyna stacja benzynowa w Kargil znajduje się dwa kilometry za miastem, przy drodze wylotowej na Leh. Tam mieliśmy ostatnią szansę na zatankowanie enfieldów po korek. Ponadto trzydzieści litrów benzyny nalaliśmy w plastikowe pojemniki. Pewnie było to nawet o dziesięć za dużo, lecz na takiej trasie nigdy nie wiadomo, co się może przydarzyć. Nieplanowany nocleg w górach, na mrozie, byłby znacznie bezpieczniejszy przy ognisku. Z braku suchego drewna musielibyśmy palić nasze ciuchy moczone w benzynie.

Miałem nadzieję, że obędzie się bez takich ekstrawagancji i na nocleg znajdziemy jakiś guest house lub homestay. Problem w tym, że nieprzewidziana awaria mogła nas uziemić dziesiątki kilometrów od takich miejsc.

Uzupełniliśmy poziom oleju silnikowego, a w przydrożnym warsztacie przesmarowano łańcuchy i dokręcono wypadające śruby jednego z amortyzatorów. Jak na nasze amatorskie oko było nieźle. Byliśmy przygotowani raczej na wypad za miasto niż na Himalaje, lecz mój optymizm (nie mylić z rozsądkiem) wymazywał z logiki czarne scenariusze.

Objuczeni jak osiołki ruszyliśmy na południe, w trasę ryzykowną, lecz jednocześnie największą atrakcją naszej wyprawy. To właśnie Zanskar, przez swoją izolację, brak dobrej drogi i zaplecza turystycznego, był dużym wyzwaniem i pokusą. Zdawałem sobie sprawę, że w przypadku jakichkolwiek kłopotów będziemy zdani wyłącznie na siebie.

Do Zanskaru wiedzie tylko jedna droga i prowadzi przez jeden z najpiękniejszych regionów Ladakhu: Dolinę Suru. Jest ona położona u podnóża Wysokich Himalajów i ciągnie się około siedemdziesięciu pięciu kilometrów na południe od Kargil, zakręcając potem na wschód na dystans prawie sześćdziesięciu pięciu kilometrów, aż do podnóża Penzi La. Dolina jest warzywnym spichlerzem Ladakhu, a żyzne ziemie nawadniane przez rzekę Suru przyciągnęły ludność napływową, głównie tybetańskiego pochodzenia. Mieszkańcy tej urodzajnej krainy są w większości muzułmanami, którzy odrzucili wiarę buddyjską w połowie XVI wieku.

Jadąc długim na kilka kilometrów korytarzem, obsadzonym topolami, orzechami włoskimi i jabłonią, mijaliśmy zielone poletka ryżowe, sady, ogrody, liczne pola uprawne, a wszystko to spięte klamrą potężnych gór. Przejeżdżając przez wioski, musieliśmy uważać na lokalnych mieszkańców, machających nam przyjaźnie rękami. Dzieci, powracające ze szkoły, wyciągały dłonie, aby przybić nam piątkę. Nie decydowaliśmy się jednak na takie spoufalanie. Wcale nie z poczucia wyższości. Nie chcieliśmy po prostu stracić równowagi i zaryć zębami w dziurawej jezdni... Z żalem mijaliśmy też autostopowiczów, znów głównie dzieciaki. Tyłne siedziska naszych motocykli zawalone były plecakami, pojemnikami z benzyną, sakwami z częściami zamiennymi, butelkami z wodą i torbami z jedzeniem. Nie zatrzymując się, obserwowaliśmy więc życie i architekturę. Wioski zabudowane były domami o kamiennych ścianach, płaskich dachach, typowymi dla Ladakhu. Zaś z tyłu gospodarstw, aż do brzegu rzeki z jednej strony lub do zbocza górskiego z drugiej, cieszyły oczy zielone enklawy z uprawami.

Z Kargil udało nam się wyjechać dopiero o czternastej, więc nie było szansy na pokonanie dużego dystansu. Od menedżera naszego pensjonatu Paradise dostaliśmy adres i list polecający, napisany na kawałku gazety. Reklamowany przez niego Nun Kun View Guest House leżał ponoć tuż przy drodze w wiosce Namsuru, na sześćdziesiątym piątym kilometrze.

Mała, ręcznie malowana tablica przybita do drewnianej żerdzi istotnie wskazywała nazwę takiego przybytku. Okazało się jednak, że guest house był położony na wzniesieniu, jakieś dziesięć minut na piechotę od naszej szosy. Adrian przespacerował się do tej noclegowni, lecz zarówno warunki, jak i nieoczekiwana niechęć właściciela nie były zbyt zachęcające. Brak parkingu dla motocykli ostatecznie przesądził. Chmara miejscowej dziatwy z wyraźną chęcią destrukcji w oczach przeglądała nasze śrubki i inne części motocyklowe podatne na odkręcenie. A perspektywa targania naszych kłopotów pod górę w tak odległe miejsce zniechęciła nas ostatecznie do zatrzymania się w tym miejscu.

Spojrzałem na zegarek. Był kwadrans przed osiemną.

- Macie tu w Namsuru jakiś inny guest house?
- Piętnaście kilometrów stąd jest wioska Parkachik. Tam jest więcej hoteli. - Brat właściciela wcale nie starał się nas zatrzymać w swoim przybytku.
- Ale zaraz zrobi się ciemno - przytomnie oceniłem nasze położenie.
- Eee, spokojnie. Macie jeszcze godzinę do nocy. Dobra droga, niedaleko. - Wyraźnie chciał się nas pozbyć.
- Damy radę dojechać?
- *No problem.* - Uśmiech na jego twarzy mnie nie przekonywał.

„Zanim uwierzysz jednemu Hindusowi, dla upewnienia się przepytaj dodatkowo stu pięćdziesięciu innych” – te słowa jak mantrę powtarzałem wcześniej mojemu synowi. A teraz sam łknąłem tę bajkę za pierwszym razem, jak turysta z orbisowskiej wycieczki.

Wąska, lecz równa droga nie zapowiadała żadnych sensacji. Słońce co prawda kładło się coraz niżej, lecz my jechaliśmy spokojnie, ufni słowom doradcy. Widoki cieszyły zmysły, kręta ścieżka koła nas swoją pustką, zaś widok domostw po drugiej stronie rzeki w dolinie dawał poczucie bezpieczeństwa. Spojrzałem na mapę: była to wioska Panikhar. Według przewodnika znajdowały się tam jakieś noclegownie. Lecz my byliśmy na górskiej szosie dużo powyżej wioski. Nie było żadnej drogi zjazdowej ani mostu, którym moglibyśmy tam dotrzeć. Nie mieliśmy wyjścia: należało kontynuować jazdę przez górskie pustkowia. Słońce tymczasem schowało się za widnokręgiem. A my wcale nie byliśmy pewni, czy znajdujemy się na dobrej drodze wiodącej do Zanskaru. Co jakiś czas pojawiały się bowiem kamieniste odnogi, prowadzące w nieodgadnione strony. A tak pomocny wynalazek jak drogowskaz, jeszcze nie dotarł w te okolice.

Moje nerwy po raz kolejny wystawione zostały na ciężką próbę. Już nie tylko perspektywa niebezpieczeństwa związanego z nocną jazdą po górskiej kamienistej ścieżce motocyklem bez świateł, ale i poczucie odpowiedzialności ojcowskiej wprowadzały duży zamęt emocjonalny w mojej głowie. Oczywiście w myślach „podziękowałem” naszemu przyjaznemu Hindusowi – doradcy noclegowemu, ale nie zmieniło to sytuacji. Należało błyskawicznie na coś się decydować. Przed nami ośnieżone szczyty pięciotysięczników i nie wiadomo jak długa jeszcze jazda, droga coraz bardziej wcinająca się między skały, funkcję nawierzchni pełniły tłuczone kamienie, zapadał zmrok.

– Wracamy do wioski w dolinie. To jakieś dziesięć, piętnaście minut stąd – zawyrokowałem. Nie miałem pojęcia, czy w ciemnościach odnajdziemy właściwą drogę do Parkachik.

Skierowaliśmy pojazdy w przeciwnym kierunku. Z każdą minutą robiło się coraz ciemniej. W pewnym momencie dostrzegłem tablicę z napisem „Alpine Hut”, która umknęła mojej uwadze wcześniej. Wąska dróżka, odchodząca od szosy głównej, prowadziła do bramy, za którą stał jakiś okazały budynek w stylu biurowca w socjalistycznej Polsce. Za żadne skarby nie mogłem zmusić wyobraźni i ujrzeć w tym architektonicznym paskudztwie niczego, co mogłoby być schroniskiem bądź hotelem górskim. Na bramie nie było kłódki. Adrian sprawdził, czy w ciemnym, wyglądającym na opuszczony budynku znajdują się, poza szczurami i duchami, jakieś inne istoty. Nie było żadnych oznak życia. Tymczasem księżyc oświecił okolice.

– Ładujemy się do środka. Jakoś przeczekamy do rana. – Podjąłem decyzję godną włamywacza.

Aby się upewnić, czy nie ma nikogo, parę razy wypróbowałem głośność mego klaksonu. Coś się w środku poruszyło, zamajaczyło w oknie i po kilku minutach w drzwiach pojawił się zaspany gość.

- Skąd się tu wzięliście? - Patrzył na nas jak na duchy.
- Jedziemy do Padum, ale złapała nas noc. Musimy znaleźć jakiś nocleg. Czy to już Parkachik?
- Nie, nie. Tam w dole. To Tangol. A do Parkachik jest jakieś dwadzieścia minut jazdy. Ale

dzisiaj nie macie co ryzykować.

- A co to za budynek? Hotel?
- Tak. Ale jest już po sezonie i hotel jest nieczynny.
- Więc co ty tu robisz?
- Za dnia pracuję w kamieniołomach, a w nocy pilnuję tego budynku. Nocny stróż pojechał do lekarza, do Kargil. Wróci za trzy dni.

- Dasz nam jakiś kąt, aby tę noc przeczekać?
- Oczywiście. Tylko nie liczcie na luksusy!

„Alpine Hut” – schronisko / hotel / guest house – przeznaczony był głównie dla grup trekkingowych i wspinaczy atakujących pobliskie bliźniacze szczyty Nun i Kun. Niemal identycznej wysokości (7135 i 7035 metrów) kuszą wspinaczy od ponad stu lat. Pierwszy z nich, Nun, jest najwyższym szczytem Himalajów po indyjskiej stronie linii kontroli – umownej „granicy zawieszenia broni” z Pakistanem. Wyższe szczyty należące do Indii znajdują się już w paśmie Karakorum.

Przyjacielsko nastawiony dozorca przydzielił nam duży pokój z dwoma łózkami, poczekał, aż się rozpakujemy, i zapalił w jadalni świeczki. Prądu oczywiście nie było, lecz na palniku gazowym błyskawicznie zabulgotał czajnik z wodą. Zaprośmy gospodarza na szybko przyrządzoną kolację. Żadna ze stron nie miała siły na dłuższą rozmowę, zresztą dogorywające świeczki nie pozwalały na zasiedzenie się przy stole.

Światło z baterii słonecznych wystarczyło do marnego oświetlenia sypialni, ale nie na naładowanie baterii lub zagrzanie wody. Toaleta, bez światła i z wodą nabieraną plastikowym czerpakiem z dużej kadzi stojącej na korytarzu, nie zachęcała do dokładnych ablucji. Skończyło się więc na pobieżnym myciu zębów. Nie burzyło to ani odrobinę naszego poczucia szczęścia, że po nerwowej sytuacji sprzed godziny trafił się nam tak luksusowy pałac. Ze względu na liczne stado skorków buszujących po dywanie, poduszkach i ścianach ochrzciłmy ten lokal romantyczną nazwą: hotel Pod Szczypawką.

Następnego dnia celem podróży miała być wioska Rangdum, niemal dokładnie w połowie drogi Kargil-Padum, ostatnia miejscowość w dolinie Suru. Tuż po południu naszym oczom ukazało się

ogromne plateau w kształcie elipsy, otoczone kolorowymi, łysymi wzgórzami z jednej strony i potężnymi, pięciotysięcznymi skalistymi górami z drugiej. Ich szczyty pokrywał śnieg.

Rangdum istniało dotychczas w mojej wyobraźni jako całkiem niemałe, tętniące życiem miasteczko. Tymczasem wjechaliśmy na pustą równinę z kilkoma parterowymi szopami. Na niektórych z nich widniały kulawe, ręcznie wymalowane napisy „hotel”. Jedynymi solidniejszymi budynkami były posterunek policji i schronisko dla turystów o znajomej nazwie Alpine Hut. Ponieważ oduścił się sobie śniadanie, w końcu dopadł nas głód. Mikroskopijny barak z przybitym jednym gwoździem szczytem z napisem „Nun Kun Super View Lodge and Restaurant” na pewno nie obiecywał uczty. Nam było już wszystko jedno. Nie zważając na warunki higieniczne, które przeciętnego inspektora sanepidu natychmiast przyprawiłyby o zawał, zasiedliśmy na drewnianym zydelku. Chwyciłem porwaną plastikową płachtę, która dawno już temu służyła za menu.

■ U podnóża Wielkich Himalajów

Kup książkę

Poleć książkę

– Czy możemy zjeść...? – Nie było dane mi dokończyć zamówienia, bo kucharz/kelner/sprzątac w jednej osobie brutalnie mi przerwał.

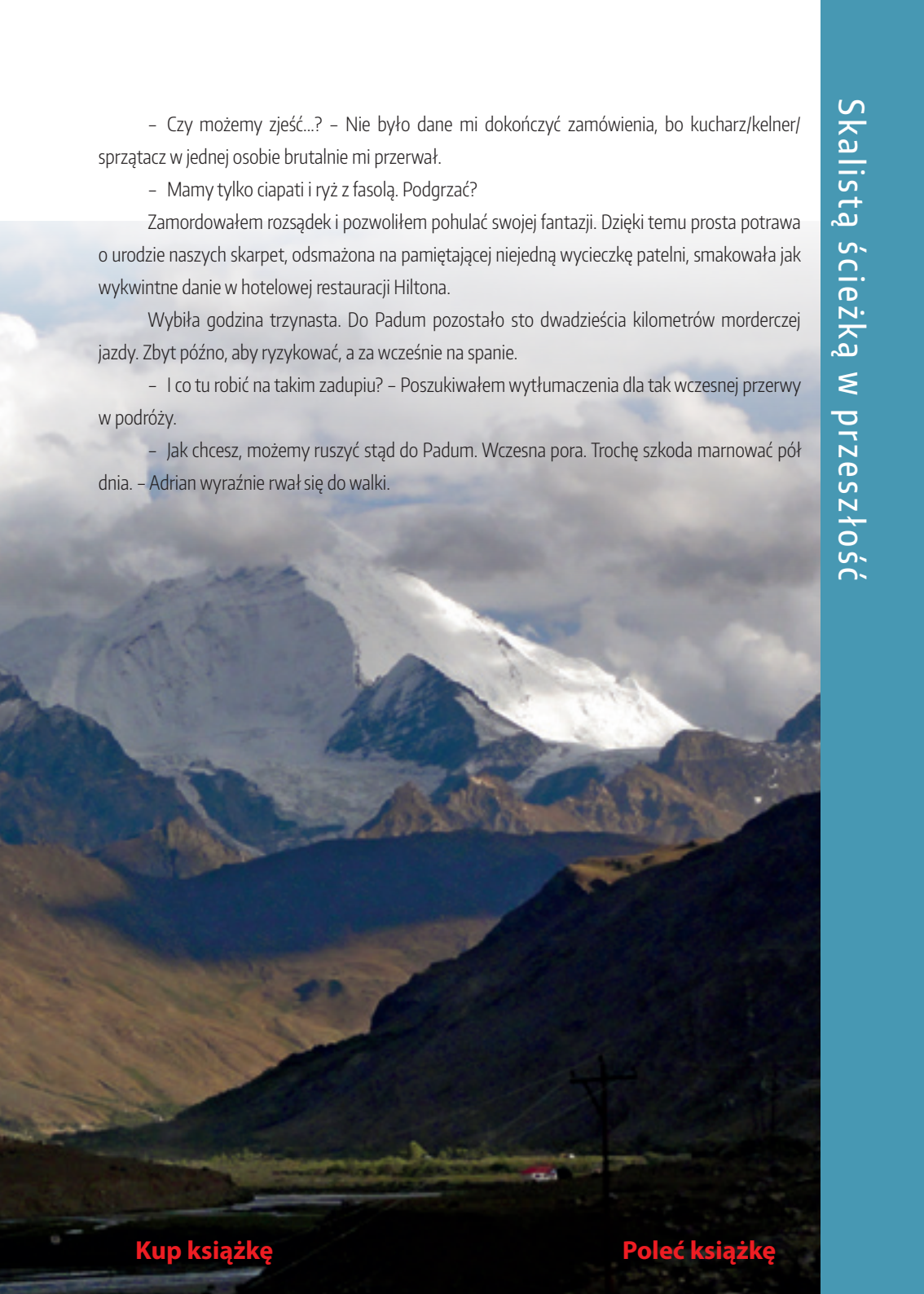
– Mamy tylko ciapati i ryż z fasolą. Podgrzać?

Zamordowałem rozsądek i pozwoliłem pohulać swojej fantazji. Dzięki temu prosta potrawa o urodzie naszych skarpet, odsmażona na pamiętającej niejedną wycieczkę patelni, smakowała jak wykwintne danie w hotelowej restauracji Hiltona.

Wybiła godzina trzynasta. Do Padum pozostało sto dwadzieścia kilometrów morderczej jazdy. Zbyt późno, aby ryzykować, a za wcześniej na spanie.

– I co tu robić na takim zadupiu? – Poszukiwałem wytłumaczenia dla tak wczesnej przerwy w podróży.

– Jak chcesz, możemy ruszyć stąd do Padum. Wczesna pora. Trochę szkoda marnować pół dnia. – Adrian wyraźnie rwał się do walki.





– Teoretycznie dalibyśmy radę. Ale nie chciałbym nocować na mrozie, gdyby coś nam dupnęło w motorkach. – Wahanie u kapitana zawsze jest jedną z najgorszych reakcji.

Na szczęście w Rangdum, a właściwie pięć kilometrów za osadą, tuż przy drodze do Padum, znajduje się XVIII-wieczny monaster buddyjski, w którym na stałe mieszka około czterdziestu mnichów. Położony malowniczo na szczycie wzgórza, znajdującego się pośrodku kamienistego koryta rzeki, może się pochwalić urokiem antycznej fortyfikacji, strzegącej górskiej doliny. A kiedy się dowiedziałem, że istnieje tam możliwość przenocowania, rozwiały się moje wątpliwości.

– Jedziemy do klasztoru – rzuciłem zdecydowanie, stając już pewniej na mostku kapitańskim.

Spakowałem paczki z herbatnikami, zakupione w jedynym w osadzie sklepiku, i wcisnąłem dwie butelki wody. Poza krakersami na półkach zauważyłem jeszcze chińskie zupki, trochę przywiezionych marchewek i zakurzone tabliczki z indyjską czekoladą. Do plecaka dorzuciłem kilka cukierków. Zasuszonego mężczyzna za ladą w milczeniu i z buddyjską obojętnością obserwował moje poczynania spod przymrużonych oczu.

– Dostaniemy się do monastynu tą szosą? – Ciągnąłem za język sprzedawcę.

Opatulony w skórę z jaka staruszek łamaną kombinacją kilku języków wyjaśnił, że kierując się na Padum normalną drogą, i tak musimy przejechać obok *gompy*. Lecz z jego machania rękami wynioskowałem też, iż istnieje duży skrót, przez wyschnięte koryto rzeki.

– Przekonamy się – mruczałem pod nosem, przezornie solidniejsze spinając bagaże.

Ruszyliśmy w kierunku świątyni.



Niewielki czorten, buddyjski odpowiednik kapliczki, a także wielobarwne chorągiewki modlitewne łopoczące na wietrze wskazywały drogę do majaczącego na widnokręgu konwentu. Zjechaliśmy z asfaltu i po chwili pod kołami zachrząściły niewielkie otoczaki. Kamienny dukt rozdzielił się na liczne ścieżynki i trudno było odgadnąć, która z nich będzie najlepsza. Jadąc szerokim na kilkaset metrów korytem rzeki Suru, nie było nam dane korzystać z jednego tylko szlaku. Woda wyrzeźbiła niezliczone korytarze, a pokonanie niektórych z nich mogłoby być dla nas zbyt ryzykowne. Wypatrząc suchego brodu, poruszaliśmy się na wzór konika szachowego. Coraz bardziej podważało to sens określenia „skrót”.

W końcu znaleźliśmy się w ślepym zaułku. Krótkie wypadły w różnych kierunkach nic nie przyniosły. Przed nami płynęła spokojnie szeroka na piętnaście metrów rzeka. Bystry nurt łamał się na głazach, informując o niewielkiej głębokości. Sądząc po śladach wjazdowych i wyjazdowych, wyglądała na przejezdną. Jednak nie wzięliśmy pod uwagę, że jedynymi pojazdami, jadącymi tym skrótem, były ciężarówki lub samochody o dużo wyższym zawieszeniu niż royal enfield.

Pierwszy odważył się mój syn. Wbił się z impetem w nurt, z trudem utrzymując wyrwającą się na głazach kierownicę. Woda sięgała kolan, dym z rury wydechowej bulgotał pod powierzchnią wody, a strzelając w powietrze, dawał efekt niewielkiego gejzeru. Trwało to kilka sekund, ale dał radę!

– Uważaj na końcu rzeki! – krzyknął. – Mało się tam nie wywaliłem! Musisz ostro gazować, bo jak ci zgaśnie silnik, to leżysz! – Mądrała udzielał mi porad, stojąc bezpiecznie na suchym gruncie.

Nie mogłem być gorszy. Wystartowałem jak na finale żużlowych mistrzostw świata, wbiłem się z impetem w wodę, przemęczyłem jakieś pięć metrów... i efektownie wywaliłem się na lewy bok. Gmole znów uratowały nogę przed uszkodzeniem, nie musiałem też popisywać się przed Adrianem swoimi umiejętnościami pływackimi. Woda w tym miejscu nieznacznie przekraczała pół metra, ale to wystarczyłoby na zalanie silnika. Nie bacząc na śmiech syna, wygramoliłem się spod pracującego ciągle motocykla, wyłączyłem silnik, lecz podnieść te dwieście kilogramów z wody – było już ponad moje siły. Adrian błyskawicznie postawił swój pojazd na stopce i dobiegł do mnie, nie zważając na wodę zalewającą mu stylowe walonki. Chwyciliśmy maszynę z obu końców. Wypchnięty wspólnymi siłami enfield ociekał wodą. Podobnie wyglądała połowa mojego plecaka. Nie przypuszczałem, że najbardziej zmoknę właśnie w uznawanym za suchy Ladakhu.

Odrąbiłem odwrót i wróciliśmy na bity trakt, nadrabiając całe trzy kilometry.

Zjazd z głównej szosy był już dziecinnie łatwy i suchy. Nadeszła pora na kwaterowanie, więc na początek zjechaliśmy do podzamcza (czy raczej – podklasztorza), gdzie rozstawione były namioty gościnne. Właściwie to szukałem tu bardziej informacji niż noclegu. Tym bardziej się ucieszyłem,

kiedy okazało się, że obóz, składający się z sześciu pałatek, jest nieczynny. Spytałem zwyczajowo o cenę i niemal rzuciło mną z wrażenia o brezentową ścianę. Siedemdziesiąt pięć dolarów! To była zupełna abstrakcja dla naszego budżetu.

Po chwili staliśmy pod klasztornym murem.

Milczący zakonnik, okutany w czerwone szaty, otworzył potężne drewniane wrota wiodące na dziedziniec monastynu. Bez słowa chwycił część naszych bagaży i pomógł dźwigać je przez podwórzec. Z wdzięcznością doceniałem jego wysiłek, bo rozrzedzone powietrze tak osłabiło mój organizm, że co kilka kroków musiałem przystawać. Łapałem oddech niczym ryba wyciągnięta z wody, a karuzela w mojej głowie szalała jak podczas premierowego spektaklu objazdowego cyrku.

Przeszliśmy przez następne wierzeje. Pośrodku wirydarza, na tle ośnieżonych szczytów, uwagę przykuwał biały czorten. Niewielkie pokoje mieszkalne mnichów ciągnęły się wzdłuż ściany. Swoimi rozmiarami przypominały cele więzienne. Kamienne schody z prawej strony dziedzińca prowadziły do dużej sali, która pełniła funkcję biblioteki. Mnich uchylił podwoje i wpuścił nas do gościńca. Pomiędzy modlitewnymi chorągiewkami, świecami, zwojami z mantrami, młynkami modlitewnymi i licznymi fotografiami Dalajlamy dostrześliśmy nasze legowisko. Na podłodze leżały ręcznie przedzione dywany, pamiętające pewnie pierwsze ceremonie w gompie. Za materace służyły inne grube kobierce o podobnej dacie produkcji i z pewnością nigdy nieskalane środkami czyszczącymi. Sąsiadowały z niedokończoną mandalą, słoiczkami z kolorowym piaskiem i posążkami Buddy. Ściany zdobiły liczne murale. Czuliśmy się bardziej jak w muzeum niż pokoju gościnnym. Widok z okien całkowicie rekompensował panujący bałagan, wszechobecny kurz i brud. Zza szyby jednego z nich wyzierała panorama gór, a drugie, równie potężne, skierowane było na przyklasztorny podwórzec. Mogliśmy potajemnie obserwować, jak mnisi niespiesznie dreptali na modlitwy albo do swoich cel lub nabierali wody z ogromnej beczki stojącej w centralnym miejscu dziedzińca.

Zakonnik zniknął jak duch, zostawiając nas sam na sam z historią. Przechadzałem się wśród zakurzonych artefaktów jak po pracowni szalonego artysty. Korzystając z przywileju gości, skierowaliśmy kroki w stronę dukhangu, głównej auli klasztornej.

Sześciu mnichów pieczołowicie restaurowało leżącą na podłodze starą thankę. Płócienne malowidło sakralne, pełne kolorów, nosiło wyraźne ślady zmęczenia wieloletnim użytkowaniem. Kłęczący, pochyleni nad zwojem, delikatnie stukali miniłutkami, machali miniaturowymi pędzelkami i dmuchali na dzieło sztuki, mamrocząc coś pod nosem. Wyglądało to bardziej na modlitwę niż pogawędkę towarzyską lub wymianę opinii podczas pracy. Cicho wycofaliśmy się do przedsionka.

Stary mnich w czerwonym pirogu na głowie, siedzący tuż przy wejściu do świątyni, przywołał nas machnięciem dłoni. Uśmiechnął się przyjaźnie, poprawił szatę. Pozując do zdjęć, był



■ Przeprawa przez rzekę

wyraźnie rozbawiony historią jazdy do klasztoru na skróty. Nasze akcje wyraźnie wzrosły, kiedy dowiedział się o naszym spotkaniu z Dalajlamą.

- Jak długo chcecie zostać w naszej gompie?
- Jutro rano jedziemy dalej, do Padum.
- A gdzie się tak spieszyć? Czasami turyści wpadają tu na jedną noc i zostają kilka tygodni!
- Boję się, że gdybyśmy zostali tu na choćby tydzień, to musielibyście gościć nas do następ-

nej wiosny!

- *You are most welcome.* – Z elegancją angielskiego dżentelmena potwierdził gotowość

wzięcia nas pod swoje buddyjskie skrzydła.

Korzystając z jego przychylności, postanowiłem dowiedzieć się o monasterze nieco więcej.

– Monaster ma już dwieście pięćdziesiąt lat. Jak widzisz, jest to młodziasek w porównaniu z tymi w Tybecie. Mieszka tu zawsze około czterdziestu lamów. W tej chwili jest nas trzydziestu sześciu. Wszyscy jesteśmy potomkami poprzednich najemców. Cała dolina Rangdum jest własnością klasztoru. Utrzymujemy się też z danin, jaką płacą nam pasterze za wypas swojego bydła.

- Czy każdy z turystów może się tu zatrzymać na nocleg?
- Odwiedza nas niewielu. Najczęściej robią zdjęcia i jadą dalej. I są to grupy z przewodnikiem. Jeśli już nocują, robią to zazwyczaj w Juldo, tej wiosce, skąd przyjechaliście. Jest tam niemal



■ W gościnnym klasztorze

luksusowe obozowisko. Oczywiście kosztuje dużo więcej, ale nie każdemu odpowiadają nasze warunki. Ludzie nadal trochę boją się jeździć tędy samemu. Słyszeliście o wypadku sprzed dwunastu lat?

Rozsiedliśmy się wygodniej, bo lama wyraźnie miał ochotę pogadać. Do tego jego angielski był znakomity.

– Wiecie pewnie o dążeniu Zanskaru do niepodległości. Jak zwykle w takich momentach pojawiły się grupy terrorystów, nazywających siebie partyzantami. Wielu z nich szkolonych i dowodzonych było przez kaszmirskich ekstremistów. W 2000 roku jedna z takich grup napadła na ciężarówkę, w której podróżował niemiecki turysta. Jechał okazją, do Padum, tak jak wy dziś na motorach. Mnisi z naszego klasztoru próbowali mu pomóc. Ale terroryści otworzyli ogień i zastrzelili trzech z naszych braci. Ciężarówka odjechała. Zabili też tego Niemca, a jego ciało wyrzucili dalej, niedaleko wioski Śafat. O tamtego czasu biali rzadko podróżują tędy samotnie. Ale wy nie macie się czego obawiać. Czasy się zmieniły. Nie ma już terrorystów. A mieszkający tu ludzie są bardzo przyjaźni i nikt wam krzywdy nie zrobi. Napijcie się herbaty?

Nie sposób było odmówić poczęstunku, chociaż znałem już ten smak. Herbata, doprawiona masłem *ghee*, uzyskanym z klarowania tłustego mleka z jaka, widniała na szarym końcu listy moich



ulubionych frykasów. Z przerażeniem spostrzegłem, że po każdym łyku ubywającym z mojej czarki mistrz natychmiast dolewał mi do pełna.

– Taki mamy zwyczaj. – Uśmiechnął się. – Ale nie przejmuj się. Jeśli nie dopijesz i zostawisz trochę na dnie, będzie to znaczyło, że kiedyś tu powrócisz.

Potrząsnął kilkakrotnie termosem i uzupełnił czarki.

– Jeżeli chcecie zobaczyć nasze wieczorne modlitwy, przyjdźcie za godzinę.

Taka okazja mogła się nie powtórzyć. Po skromnym posiłku, przyrządzonym w naszym pokoju, powróciliśmy do auli. Mnisi powoli schodzili się na wieczorne modły. Część z nich, siedząc w dwóch rzędach na podłodze, kiwała się i mamrotała pod nosem słowa mantry. Zostawiwszy buty na zewnątrz, na palcach wkradliśmy się do środka. Basowy głos jednego z lamów prowadził obrzęd. Głęboki, gardłowy, monotony śpiew wznosił się i opadał, nasilał i wyciszał. Pozostały chór mnichów kołysał się rytmicznie, a ich ręce wykonywały rytualne gesty. Prawa dłoń trzymała wadżrę, przedmiot symbolizujący pierwiastek męski. Niewielki dzwonek w lewej ręce, uosabiający energię żeńską, rozbijał co kilka minut monotonię śpiewu.

Byliśmy jedynymi obcokrajowcami w klasztorze. Nikt nie zwracał na nas uwagi, celebra toczyła się swoim rytmem, a rytualna atmosfera błyskawicznie zawładnęła mym umysłem.

Modlitewny zaśpiew mnichów, szum wirujących młynków, duszący zapach kadzideł rekompensowały niewygody i narastający na zewnątrz mróz. A pomiędzy mruczącymi i skupionymi na recytacji mantr braciszkami – dwóch innowierców, zagubionych pomiędzy sześciotysięcznikami, pod kopułą rozpalonego milionami gwiazd nieboskłonu...

Wróciliśmy do siebie. Wieczne ceremonie mogły się ciągnąć w nieskończoność, a my chcieliśmy jeszcze zaliczyć wizytę w ławaterzu. Umywalnia klasztorna służyła jednocześnie za sławojkę. Wyglądała jak skrzyżowanie dużej celi więziennej ze spichlerzem, który już dawno temu został ograbiony przez szczury. Substytutem prysznicza lub wanny było plastikowe wiadro stojące tuż obok dwóch niewielkich, prostokątnych otworów, wykutych w kamiennym klepsku. Wywnioskowałem, że pełniły one funkcję zarówno odpływu zużytej wody, jak i czeluści kloacznej dla przetrwanego pokarmu...

Bez trudu zatwierdziliśmy na ten wieczór dyspensę od mycia czegokolwiek, nawet zębów. Wtargnięcie bowiem do kościelnego sanitariatu w celach innych niż absolutna konieczność graniczyło z próbą samobójczą w najmniej eleganckim stylu.

4000 metrów nad poziomem morza wyraźnie dawało mi się we znaki. Zachrypnięty głos i trudności z oddychaniem były jednoznacznymi symptomami walki organizmu z wysokością. Drugim zauważalnym efektem było przeraźliwe zimno, jakie zaatakowało nas w nocy. Wszystkie koszulki, bluzy lub swetry, a nawet kurtki motocyklowe otuliły nasze ciała, a mimo to trudno się było rozgrzać.



Obudziły nas poranne dzwonki, wzywające mnichów na modły. Przed nami długa droga. Sto dwadzieścia kilometrów, które pozostały do przebycia, to na warunki europejskie śmieszna odległość. Tutaj był to już spory wyczyn. Na rozgrzewkę czekało nas pokonanie Pensi La, przełęczy będącej bramą wjazdową do Zanskaru. Od klasztoru dzieliło nas do niej dwadzieścia sześć kilometrów.

Szybko spakowaliśmy swoje rzeczy, aby po gęstym od historii i mistycyzmu powietrzu móc wreszcie zaczerpnąć haust górskiego tlenu. Rewelacyjnie było spędzić noc w gompie buddyjskiej, ale jeszcze większą radością było jej opuszczenie.

Gościnny mnich odprowadził nas do bramy. Milcząc, z łagodnym uśmiechem na twarzy, pokładał na pożegnanie głową i z pokorą przyjął kilkaset rupii jako datkę za udzielenie nam noclegu. Wysość jałmużny zależy jedynie od sumienia i odczuć gościa, nie jest regulowana żadnym taryfikatorem. Zostawiliśmy więc kwotę podobną do tych, które mieliśmy po drodze w przydrożnych hotelikach.

Minęliśmy posterunki wojskowych, niewielkie boisko, gdzie wojacy trenowali siatkówkę i le-dwie widocznym duktem wjechaliśmy w dolinę. Odnalezienie właściwej drogi przyszło z trudnością,

bo nasza kamienna ścieżynka prowadziła znów niemal wyschniętym korytem rzeki. W końcu udało się wjechać na właściwy trakt. Topografia okolicy zmuszała nas do wzmożonej koncentracji. Mała wioska Tashi Tongse była ostatnią siedzibą ludzką przed Pensi La. Dolina wyraźnie się zwężała i szczyty himalajskie po prawej stronie automatycznie bardziej się do nas zbliżyły. Potężne strumienie spływające po ośnieżonych zboczach dzieliły się na dziesiątki mniejszych strużek, formując zespół niewielkich delt. Suru miejscami płynęła szerokim nurtem, rozpychając się po dolinie, a jej biegnące czasem w różnych kierunkach kanały pozostawiały suche, porośnięte trawą kawałki ziemi, na których pasły się jaki, owce i konie.

Delektowałem się sielskimi widokami, gdy nagle obok mnie pojawił się mój syn. Zrównał motocykle, a na jego twarzy dostrzegłem radosny uśmiech.

– Widziałeś to? Ależ przeżycie! – Wyrzucał z siebie słowa naładowane emocjami. Dawno nie widziałem go tak podekscytowanego.

Spojrzałem w tył. Kilka metrów za nami galopowało całkiem pokaźne stado koni.

– Biegły obok mnie dziesięć minut! Bałem się, że mnie strącą! Ten czarny, o ten, w białych skarpetkach, był niecały metr ode mnie! – nie przerywając jazdy, przekrzykiwał hałas.

Motocykle plus mustangi na wolności, ryk silnika i rozwiane grzywy, odgłos kamieni wyrzucanych spod opon i tętent kopyt – czyż może istnieć piękniejsza apoteoza wolności?

Pięliśmy się dalej. Coraz częściej koniecznym biegiem okazywała się jedynka. Dolina została daleko za nami, a raczej pod nami. Przednie koło unosiło się coraz wyżej, silniki jęczały na niezliczonych zakrętach. Serpentina wiodła nas w kierunku szczytów.

Droga nagle złagodniała, zrobiło się niespodziewanie szeroko, a z prawej strony wyłoniło się urokliwe jezioro ze szmaragdową wodą i niewielką wieżą obserwacyjną na brzegu. Mijaliśmy kilka mniejszych jezierek lodowcowych, ale to przebijająco urodą pozostałe. W dali dostrześliśmy białą czortę, z licznymi sznurami kolorowych modlitewnych chorągiewek, rozchodzącymi się na boki na podobieństwo macek osmiornicy.

Byliśmy na miejscu. Spotkanie z najwyższą jak dotąd przełęczą Pensi La, na wysokości 4406 metrów, nie nosło już takich emocji jak przejazdka przez Rohtang czy Zodzi La. Działo się tak być może dzięki dosyć długiemu i całkiem rozległemu siodłu, które dawało nam poczucie bezpieczeństwa. Przymocowana do białego w ziemię metalowego drąga drewniana tablica informacyjna radowała moje oczy. „Pensi La – 14000 Feet” z jednej strony oraz „Welcome to Zanskar” z drugiej. Na tej przełęczy zaczynało się bowiem miejsce na Ziemi, które całymi latami męczyło moją wyobraźnię.



Chcę Wam opowiedzieć historię pewnej podróży. Sam ją wymyśliłem i sam ją relacjonuję. Ale autorów tej książki jest dwóch. Witold i Adrian. Ojciec i Syn. Wychodzę bowiem z założenia, że autor to nie tylko osoba, która spisuje historie, ale też człowiek, który przyczynia się do zaistnienia jakiegoś zdarzenia. A bez Adriana cała ta przygoda by się nie wydarzyła.

Witold Palak

Ojciec i syn, obaj tuż po świeżo zdanym egzaminie na prawo jazdy na jednośląd, na dwóch legendarnych motocyklach Royal Enfield zakupionych w Delhi wybierają się w podróż u podnóży Himalajów, od Kaszmiru aż po Sikkim. Tysiące kilometrów lepszych lub dużo częściej gorszych dróg, skromne możliwości naprawy pojazdów przez niewykwalifikowanych mechaników, a przy tym bardzo dowolna interpretacja przepisów ruchu drogowego przez kierowców – to wszystko mogłoby odstraszyć niejednego amatora jednośladów. Witold Palak w książce *Księżycowa autostrada. Motocyklem przez Himalaje* z dużą dawką humoru i dystansem do siebie pokazuje, że nawet najbardziej nieprawdopodobne pomysły są warte realizacji, a poznawanie świata z siedzenia nie pierwszej już młodości enfielda nie tylko daje dużo frajdy, ale też jest wyjątkową lekcją życia.

Ważne były legenda i styl. W naszej wyobraźni tylko ten kultowy sprzęt mógł pokonać magiczną trasę przez Ladakh. Zapragnęliśmy być himalajskimi easy riders, a jedynie ta indyjska produkcja, oparta na brytyjskim układzie konstrukcyjnym z 1952 roku, mogła spełnić nasze marzenia. Cieszyliśmy się, że motocykle spełniały najważniejszy warunek poruszania się po azjatyckich drogach: oba miały sprawne klaksony!

PATRONI:



Globtroter.pl

kolosy.pl

Nr katalogowy: **27050**



Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>



Zamówienia telefoniczne:

0 801 339900



0 601 339900



Bezdroża

Sprawdź najnowsze promocje:

• <http://bezdroza.pl/promocje>

Przewodniki najchętniej czytane:

• <http://bezdroza.pl/bestsellery>

Zamów informator podróżniczy:

• <http://bezdroza.pl/newsletter>

Helion SA

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel.: 32 230 98 63

e-mail: bezdroza@bezdroza.pl

<http://bezdroza.pl>

Cena 39,90 zł

ISBN 978-83-283-0426-0



9 788328 304260

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**